



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Niebo okryte chmurami, deszczycz drobniutki mrzy i czas jesienny przypomina; ani za miasto wyjść na przechadzkę, ani po Krakowskiem-Przedmieściu przejść się, bo mokre chodniki nie nęcą wcale, a rozpięte parasole nie pozwalają dojrzeć znajomych twarzy. *Volens nolens*, musimy pozostać w domu.

Ale cóż to jest znów złego pozostać w domu? Czy wśród czterech ścian naszego mieszkania nie możemy znaleźć rozrywki? czy brak nam książek, dzienników, pióra i papieru zresztą, na który nie moglibyśmy rzucić trochę spostrzeżeń pochwyconych z codziennego życia, zapisać tę lub ową uwagę, albo dać folgę myślom, które, czasami, nie wiadomo z kąd płyną i niewiadomo dokąd dążą? A gdyby książka znużyła, w dziennikach zabrakło nowości, pióro zaś nie było posłuszne — to zawsze się znajdzie towarzysz jaki, przyjaciel dobry, z którym miło jest myślać się podzielić i o doznanych wrażeniach pogadać; a wrażeń przecie nie brak, choćby one były tak wiotkie, jak owo zdźbła zielone, wydobywające się nieśmiało z ziemi ku wiosennemu słońcu.

Mieliśmy Święta, podzieliliśmy się święconem jajkiem z rodziną i znajomymi, wypowiedzieliśmy dorożne życzenia, powzdychaliśmy trochę i zabawili się trochę w dobranem kółku przyjaciół. I ot, zebrało się zawsze nieco wspomnień, nie wiele tego może, lecz i tak dobrych na te ciężkie czasy. Wiem, że jużbyśmy chcieli odetchnąć pełnem a ciepłym powietrzem wiosny, ale cóż robić, gdy ona nam jakoś marudzi, trochę błękitu ukaże, trochę jasných promieni rzuci i znów niebo okryje mgłami i technie oddechem wilgotnym.

— Witam ciebie, mój drogi przyjacielu! jakże rad jestem, że przestąpiłeś progi mojego mieszkania, bo — chodząc od okna do okna — już nudzić się zaczynałem, będąc pochmurnym, jak ów dzień, który jesiennym mrzy deszczem. W sam raz mnie odwiedziłeś, albowiem czułem nieprzepartą chęć pogawędzenia z tobą o różnych głupstwach tego świata.

— O głupstwach? zaśmiał się mój gość pożądany.

— Cóż chcesz? odrzekłem.

— Czyż warto o nich mówić? zapytał.

— Ba! wolałbym o czem innym gawędzić z tobą; cóż z tego, gdy na żaden przedmiot poważny natrafić nie sposób. Ale widząc ciebie, kto wie, co stać się może; może szlachetne myśli napłyną do naszych mózgów szlachetnych i zrodzi się u nas jakieś szlachetne upodobanie.

— Na Boga — cóż to za mowa! zawołał mój przyjaciel. Z kąd znów takie rozszlachetnienie się? śmiał się, zapalając papierosa. Szlachetne myśli, szlachetne mózgi, szlachetne upodobania! Czy tworzysz jakie wstrząsające arcydzieło?

— Wyprzedzono już mnie — odpowiedziałem z westchnieniem. Najsmutniejszym zaś jest to, że obecnie pewien zamęt w mej głowie panuje i czuję dziwny rozdźwięk w pojęciach o szlachetnych upodobaniach.

— Jako?

— Ot, jak widzisz — odpowiedziałem, robiąc ruch, który mógł oznaczać rozpacz.

— Przecie — ciągnął mój przyjaciel — rozumiałeś zawsze, co to są: szlachetne upodobania.

— Tak — lecz to było w czasie przeszłym.

— A teraz?

— Nie rozumiem.

— Bajki jakieś! zawołał mój gość pożądany.

— Nie, przyjacielu — i chciałbym właśnie rady twojej zasięgnąć.

— Słucham, ale mi to na jakiś żart zakrawa.

— Usiądź — i zechciej mi dać parę odpowiedzi na pytań kilkoro.

Usiedliśmy na przeciw siebie, naleliśmy po kieliszku wina, zapaliliśmy papierosy a ja zacząłem mówić w ten sens:

— Powiedz mi, co rozumiesz — lub lepiej, co to są: szlachetne upodobania — szlachetnie urodzonych? Mój przyjaciel pomyślał zdania.

— Na pierwszą połowę trwania — rzekł — mógłbym ci odpowiedzieć; ale co tu robią szlachetnie urodzeni?

— Jak to pojmujesz?

— Kiedy ja tego nie pojmuję wcale. Szlachetnie urodzonym zresztą, jeżeli już chcesz koniecznie, bym ci coś na to odpowiedział — jest u mnie każdy człowiek bez względu, czy los mu kazał światło dzienne ujrzeć w marmurowej komnacie pałacu, czy chłopskiej lepiance. Albowiem człowieka nie ciało, lecz duch uszlachetnia, a ów duch *flat ubi vult*. Chrystusowemu temu zdaniu sprzeciwiać się nie śmiem — a więc o *szlachetnie urodzonych*, nie wiem — przed czasem.

— Zgoda! ja na to — choć p. Stanisław Koźmian inaczej tę rzecz rozumie. Lecz cóż mi o owych *upodobaniach* powiesz?

— Sądzę, że szlachetne upodobania, jeżeli już je koniecznie tym terminem chrzcimy, muszą choćby pośrednio, szlachetne za sobą pociągać czyny. Upodobaniem *szlachetnem* nie nazwę, naprzykład, amatorstwa w wyśięgowych koniach, bo nie nikomu ono nie przynosi; jest to rozrywka wielkich panów, napędzająca im czasem znaczny grosz do kieszeni, lecz z tego ogół żadnego pożytku nie ma. Bajką zaś jest czeza gawęda o korzyściach z podnoszenia się w ten sposób krajowych stadnin. Niech na obszarach pół zobaczą, ciągnące pługi, konie rosłe, silne i zdrowe, i niech mi wskażą stada, z których wzięte zostały — wtedy upodobanie takie w hodowli koni nazwę szlachetnem. Dalej: *szlachetnem upodobaniem* nazwę zamiłowanie w zgromadzaniu, naprzykład, dzieł sztuki. W tym wypadku zbie-

racz nie tylko czuje rozkosz estetyczną, lecz, przechodząc z pomocą tym, którzy pracują na polu malarstwa czy rzeźby, daje możność, nabywając ich dzieła, rozwijać się talentem, osładza niejedną godzinę ciężkiej walki o chleb powszedni, zachęca do pracy dalszej a tym sposobem przyczynia się do rozwoju narodowej sztuki. Gromadzenie księgozbiorów jest równie szlachetnym upodobaniem, bo nie dozwala rozpraszać się dziełom ducha ludzkiego a skupiając je w jedno miejsce, daje możność, bez trudu i straty czasu, korzystania ze skarbnicy wiedzy tym, którzy jej pragną. W ogóle, każde upodobanie, przynoszące tylko rzetelny pożytek społeczeństwu — możemy nazwać — *szlachetnym*. W przeciwnym razie jest igraszką, fantazją, dozwoloną wprawdzie, lecz nie mającą nic ze *szlachetnością* — wspólnego. Tak sędzę — dokończył mój przyjaciel.

— I ja tak sądziłem — rzekłem — sądziłem nawet, że jeżeli stanowisko społeczne i towarzyskie, oraz środki materialne są po temu, to ten wybraniec losu, ma przed sobą ogromne pole działania, więcej nawet, — ma *obowiązek* do szlachetnej dla swojego społeczeństwa pracy. Ja w dziwnym zaślepieniu myślałem, że szlachetnie urodzeni śpią i nie robią, tym czasem mnie ze snów czarnych zbudził pan Stanisław Koźmian i — posłuchaj — jaką otuchą uapełnił.

W artykule swoim „Dalekie podróże,” omawiając „Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu” hr. Józefa Potockiego, wystąpił z takim przedśpiewem:

„Jeżeli stanowisko społeczne i towarzyskie, środki materialne podróżnika pozwalają mu i ułatwiają dalekie wyprawy, to przynajmniej trzeba, że ten zbytek w wielkim stylu zaliczyć należy do szlachetnych upodobań szlachetnie urodzonych.”

— Co, co, co? zawołał mój przyjaciel — i, nie wierząc odczytanemu przeze mnie tylko co zdaniu, własnymi oczyma zajrzał do ciekawego artykułu.

— A prawda, że to jest napisane, rzekł, podnosząc brwi do góry — no, ale nie wszystko znów, co jest napisane, jest prawdą. Że bogaty pan pojechał sobie na Wschód daleki i tam *matematycznym* strzałem położył słonia, to — to jest sobie upodobanie, ale dla czego szlachetne? — Przecież wyprawa Potockiego, nie może się równać, na przykład, z wyprawą Nansena?

— Słuchaj dalej, a później zrzędzić będziesz — zawołałem zniecierpliwiony, i zacząłem znów czytać: „...a takie przedsięwzięcie niezawodnie obudza sympatyę...”

— Sympatyę. — Cui bono? — wykrzyknął znów mój przyjaciel. Że pan hrabia wesoło czas przepędził, polując na dzikie koguty i słonie?

— Zaraz ci się wyjaśni — tylko nieprzerwyj — mruknął.

„Obudza sympatyę, już dla tego, że rozszerza widnokrąg, co zawsze pożądanym jest, ale zwłaszcza tam — (Uważaj!) — gdzie nieraz walczyć przychodzi z ciasnymi poglądami.”

— Co to takiego? odezwał się mój przyjaciel — i z jakimi to ciasnymi poglądami walka ma obudzić moją sympatyę?

— I ty nie rozumiesz? — rzekłem.

— Nie — a ty?

— Ja także nie — ale czytamy sobie:

„Aby jednak korzyści rozwidnienia i orjentacyi nie ograniczyły się do samego tylko podróżnika, trzeba, żeby zechciał i umiał przypuścić publiczność do swojej podróży i to tak, iżby ona z nim chętnie ją odbyła.”

— Aha! — teraz rozumiem — przerwał mi mój przyjaciel. — Szlachetny podróżnik odbył tę wyprawę nie sam, lecz wziął na swój koszt ludzi, pragnących odwiedzić te strony dalekie a którym środki materialne na przeszkodzie stawały i tym sposobem dał im możność wzbogacenia swojego umysłu i rozszerzenia widnokręgu ich pojęć... Rozumiem! Upodobanie takie jest szlachetnym.

— Ależ nie!... krzyknąłem. Omawiany przez p. Koźmiana podróżnik wydał tylko dwa tomy o tej swojej podróży z przepysznyimi ilustracyjami Stachewicza, które pozwala nabyć za rs. 16, a na papierze japońskim za rs. 40. Szeroki więc ogół może wziąć udział w tych wycieczkach na wschód daleki. Gdyby tego nie było, podróż cała pozostałaby „egoistyczną własnością jednostki, martwą literą dla ogółu.”

„Tego nie chciał hr. Józef Potocki — mówi dalej sprawozdawca — a w jego zamiarze podzielenia się podróżą z rodakami jest równie coś szlachetnego, jak w jego skłonności do dalekich wypraw.”

— Zmysłsz — zawołał mój przyjaciel i znów mi przez ramię zajrzał do artykułu. A wiesz co, dodał, przekonawszy się o prawdziwości słów przeze mnie czytanych — że i ja dotąd o szlachetności inne pojęcie miałem. W ten sposób, mój kochany, każdy wydawca kalendarza, ze swojemi skłonnościami choćby do spacerów na pole mokotowskie — ma już patent na szlachetność. Ale czytaj dalej, bo to już mię bawić zaczyna.

Czytam więc:

„Dzięki” Notatkom myśliwskim z dalekiego Wschodu, pozostanie zapisana działalność na tem polu Polaka pod koniec stulecia...”

— *Finis coronat opus!* zawołał mój przyjaciel... O, panie Polaku, jakże nie wiele żąda od ciebie p. Koźmian pod koniec stulecia, i to od ciebie, Polaku, który stoisz wśród nas, dzisiaj (to *dzisiaj* ma wagę pewną) szlachetnie urodzony, na wysokim szczeblu społecznym, z ogromnym materialnym zasobem! — Pod koniec stulecia zapisujesz swe imię „matematycznym strzałem” do słonia wymierzonym. — Ej! czy to nie ironia?

— Nie — wszak p. Koźmian czując „radość myśliwego w każdym słowie poświęconem temu” rzadkiemu trofeum twierdzi, że i „czytelnik nie mniej jest zadowolony.”

— Z czego?

— Ze zapuściwszy się w „dżunglę,” pan hrabia Józef słonia zabił. — Ale — nim się dojdzie do tego mieszkańca lasów afrykańskich „nie małe trzeba złożyć dowody zdolności strategicznych.” A oto znajduje się taki ustępik:

„Tropienie słonia górą, za śladem gałęzi, które łamał; przysłuchiwanie się jego potężnemu chrapaniu; opis „Rouge,” tego nieznośnego złego, różbójniczego charakteru i najniegodziwszego usposobienia słonia — są ustępy wyborne, przypominające pędzel Fałata...” „A przy tem zawsze odzywa się nuta ludzka wydobyta z tajników duszy i wyobraźni.”

— Konia z rżędem kto to zrozumie. — Przy czym się ma ta nuta ludzka odzywać, czy przy potężnym chrapaniu będącego w różbójniczym usposobieniu słonia? — Jest to także „dżungla,” w którą zagłębił się sprawozdawca „Notatek myśliwskich.”

Kilka zaledwie uszczknęliśmy kwiatków z artykułu p. Koźmiana, z artykułu, który jest kadzidłem spalonym na cześć szlachetnie urodzonego. Wątpimy jednak, ażeby autor „Notatek” rad był z podobnego rodzaju pochwał, którego zamiłowanie do myślistwa podniesiono do szlachetnie bohaterkich czynów, że aż ta *działalność* Polaka pod koniec stulecia zapisaną zostanie na karcie, — nie wiem tylko jakiej.

Nie mogliśmy w milczeniu pominąć tego artykułu. Są czyny daleko donośniejsze, o których jakoś nie rozpisują się ludzie, a przynajmniej nie podnoszą do takiej potęgi. „Notatki myśliwskie” hr. Potockiego, barwnie i zajmująco są nakreślone, nie mało im dodają wartości przepyszne Stachewicza rysunki, między luksusowemi wydawnictwami u nas pierwsze zajmują miejsce i bez zaprzeczenia wzbogaciły tego rodzaju dział wydawniczy; będą też ozdobą pańskich salonów i można za zasługę poczytać wydawcy, że nie skąpił kosztów na wydanie ozdobnego dzieła — ależ to jeszcze nie jest arcydzieło, z którego być ma dumną bogata i bez tego literatura nasza, toć przecie nie „Pan Tadeusz,” nie trylogia Sienkiewiczowska, nie społeczna powieść Prusa, ażeby dytyramby podobne pisać i rozwodzić się nad przedziwną *szlachetnością* autora, który skreśliwszy „Notatki myśliwskie” podzielił się wrażeniami swojemi z *rodakami*. Jak sobie pan Koźmian chce, ale *pod koniec wieku*, inną nieco chcielibyśmy widzieć działalność — Polaka. Zawiele już mieliśmy samoobóstwień, a uważamy za czyn stokroć donioślejszy założenie jakiejś szkoły rzemieślniczej, czytelnik dla ludu, ułatwienie hojnym datkiem wyjazdu zbiedzonych działwy na kolonie letnie, przyczynienie się do otworzenia kasy pomocy literackiej i tak dalej i dalej, niż strzał matematycznie obliczony i zgładzenie ze świata różbójniczo chrapiącego słonia.

Dzień był pochmurny, kiedy odczytywałem z przyjaciелеm artykuł p. Koźmiana i chmurno byłoby w duszy naszej, gdyby nieczem już innem nie mogliśmy się pod koniec wieku pochwalić, a podobne kadzidła czyniły na nas jakiegokolwiek wrazenie. Uśmiechowi jednak i pewien smutek towarzyszył, bo czytaliśmy tam i o nostalgii wielkich panów do wypraw tych kosztownych, nostalgii — którąbyśmy chcieli do czego całkiem innego zwrócić.

Ale oto stokroć ważniejszą rzeczą jest rozpanoszenie się *sportu*. Nie dość, że mu przypisują to, na co w rzeczywistości zasługuje: wzmocnienie muskułów, dobre oddziaływanie na trawienie, za czem idzie odżywienie ciała, wzmocnienie sił fizycznych, humor i zdrowie — lecz już zakreślają mu tak szerokie granice, o jakich ani świat ani korona polska nie marzyła. Sport ma wpłynąć na większe uobyczenie ludzkości, a przez zbliżenie się dwóch płci ku sobie wyrównać różne nieprawidłowości tkwiące w tym wzajemnym stosunku i wszelkie zło za dziesiątą górę przepędzić. Dotąd starzy zaoferowali myśleli, że tę przemianę dokazać tylko może wychowanie religijne, wiara w Pana Boga, a w ciężkich chwilach życia modlitwa i poddanie się woli Najwyższej — krom tego, miłość, jaka powinna ożywiać serca dzieci w stosunku do ich życiodawców.

Gdzie tam!

Rodzina już się staje przesądem, o modlitwie z przekąsem się mówi, a Pana Boga jako tako się jeszcze znosi. Inna całkiem przyczyna jest łożnictwa chłopców, a przedczesnego wykluwania się ząbków u dziewcząt. Oto brak zamiłowania to sportu, który powinien być jedyną dźwignią przyszłego pokolenia. Młodzi nie powinni spotykać się już pod czujnym okiem matki, zalecane jest stanowcze oswobodzenie się z tych więzów, lepiej się poznają, rozumieją i uszczęśliwiają gdy puszcza się na łyżwach po zamrażniętej szybie stawu, a przede wszystkim są zalecane dalekie na rowerach wycieczki, dla oswojenia się i przyzwyczajenia się.

Nie myślcie, łaskawi czytelnicy, że to się tylko tak mówi, nie — to się tak pisze i w jak najlepiej wierze — radzi. Przdodniectwo w wychowaniu ma ująć w ręce swoje — sport, z którego bije „samopoczucie *stanu* cyklistowskiego.”

„My, ludzie koła — mówią cykliści wiedeńscy — stanowimy jedność; należymy do siebie nawzajem i chcemy być sami u siebie; tworzymy gminę toczącą się, państwo w państwie, — państwo na kołach z pneumatycznymi gumami.” — „Sport jest rzeczą szlachetną i społecznie użyteczną. Nawiązuje on węzeł pomiędzy ludźmi, wytwarza spokój i zgodę.”

Dla czego miałyby kobiety być pozbawione tego dobrodziejstwa?

Dla czego — i ja nie widzę dobrej racji, gdyby ów sport był uważany jako zwyczajna rozrywka bez żadnych edukacyjnych pretensyj.

Ale nie — sport właśnie ma być edukacją razem.

Zbyt niemu rozwielmożeniu się tego pana, bądź co bądź, stanie matka. Lecz daremnie ideowiczom mówić, że głos jej mieć musi i powinien pierwszorzędne znaczenie, boć to dziecię na świat wydała ona, karmiła własną piersią, wszczępiała pierwsze zasady prawdy i piękna i życie jej z tem dzieckiem jest zawsze połączone — oni tworzą teorię nowego ukształtowania się społeczeństw, uważając ustrój rodzinny za coś już straszliwie zamamuciałego, przeciw czemu coś całkiem nowego postawić potrzeba.

Co?

Trem — bem... Ni w pięć ni w dziewięć coś się gada, ale jakoś ostatecznie teorii swoich zdefiniować nie mogą. Wsiadli tym czasem na sport i jazda.

Nie dziwimy się, że młodym umysłem ponętna się staje wszelka samowola; bo cóż to szkodzi, jeżeli młodziutka dziewczyna z młodziutkim chłopakiem na gumowych kołach potoczy się daleko. A jeżeli tatko się skrzywi, mama niezadowolone okaże — to rozumek wnet się osłepia teorią nowego ukształtowania się społeczeństw, owym postępowaniem, tak zawsze ponętnym i wyższością pojęć technicznych. Zaleca się ów sport, pod grozą rozpadnięcia się rodziny. Taki to już duch czasu, a kto tego pojąć nie zdolny, sam sobie będzie winien, jeżeli samotny zostanie.

Ostatniemi czasami, niektóre pisma nasze na gwałt się wzięły do zachęcania nas do rozrywek sportowych.

Dla czego?

Jako dla czego—przecie o tem tak dużo zagranicę się mówi. Zresztą gdzie a gdzie, to właśnie u nas sport jest na dobie, bo cóż my lepszego do roboty mamy? Prawda, że ktoś tam mówił inaczej, a nawet twierdził uparcie, że gdzie a gdzie, to u nas nie rozluźniać lecz zacieśniać potrzeba węzły rodzinne, że rodzina zresztą jest jeszcze jedynym tym murem, w którym nie wiele dotąd luk zrobiono, po za który pada światło jasne i czyste i zdrowe, jakiego już nigdzie nie znajdujemy. — Jeżeli tak jest, a tak jest, to niewolno tknąć tego muru.

Ale któż mówi o rozluźnieniu węzłów rodzinnych—wszak tego nie powiedziano wcale?

Wyraźnie—tak! Ale z ubocza nie jedną już strzałkę puszczone, — bo cóżby znaczył wyczytany przeze mnie taki naprzykład frazesik:

„Dzisiaj obcowanie młodzieży obojga płci musi być dłuższe i częstsze niż dawniej, ale rodzina musi się do tego przystosować.“

Jak?

„Jednym z najlepszych sposobów tego przystosowania jest odjęcie temu stosunkowi charakteru dorywezości, ukradkowości i nagłości. Młodzież męzka i żeńska nie powinna się składać z luźnych kucpek samców i samicek spędzanych od czasu do czasu—(czyściej po polsku byłoby: kiedy nie kiedy) pod czujnym okiem pasterza.“ (Oczywiście, że tym pasterzem jest głowa rodziny: ojciec lub matka.) „Musi młodzież od najmłodszego wieku uczyć się (rozumie się sama,) wytwarzać z siebie małą społeczność, mającą własne swoje ściśle obowiązujące prawidła wzajemnej uczciwości i honoru.“ (No, ale kto ją nauczy tego bez pasterza?) Ba! ku temu mają służyć odbywane „bez oka rodziców dalekie wycieczki“, które wytworzą „zasady nie chwilowe—eleganckiego, ale stałego, uczciwego obcowania.“

Ogłędnie więc i bardzo delikatnie czujne oko rodzicielskie usunięte zostało, a uczciwość zasad mają wytworzyć bez nadzoru starszych dalekie wycieczki.

Przyznajemy się otwarcie, że o tym sposobie nie wiedzieliśmy dotąd. Ale trwogi niema—nie będzie mędrzejsze jaje od kury, a bezdzietni guwernerowie ojcowskiego oka ni matczyne serce nie zastąpią. Takie rzeczy piszą się sobie przy stoliku redakcyjnym i — znamy takich mentorów, którym trwoga o los własnego dziecka nie zamąca spokoju, — i — znamy rezultaty dalekich wycieczek, tak skwapliwie przez panów reformatorów zalecanych. — Radziłbym im przeczytać pewien ustęp z „Chowanny“ Trentowskiego—(a był to sobie pan taki nie głupi)—w którym jest rzecz o obcowaniu młodzieży bez oka—pasterza. — My zaś nie innego w tej chwili nie mamy do powiedzenia, jak tylko to, byście zostawili troskę o moralne wychowanie dzieci-rodzicom tychże dzieci, znającym lepiej od was ich usposobienie i skłonności i — kochającym lepiej, niż wy, tę cząstkę swojego ducha i ciała.

Zestawienie sportu z kwestyą kobiecą, narzuciło się dziś uwadze pedagogów. Ich to jest zadaniem podjęcie rękawicy i rozpatrzenie zbliska rzuconego przedmiotu.

Ot, i ani spodziewałem się, jak pogawędka z wami, szanowni czytelnicy, dobiegła do końca. Siadając do stolika miałem zamiar przejść się z wami po ulicach Warszawy, zajrzeć na wystawę sztuk, przypatrzeć się znajdującym się tam nowościom, zajść na wystawę etnograficzną, która podczas świąt cieszyła się względami publiczności, a nawet, wpadłszy w humor dobry — pojechać tramwajem na pole Mokotowskie i pokręcić się wraz z wami na karuzelu. Ale wpadł mi do rąk p. Koźmian i Sport—szczególnie do tego pierwszego uczułem taką sympatię, że chcąc się nawet powstrzymać, nie mogłem nie zabawić się z nim trochę. Mam jednak nadzieję, że gniewni nie jesteście na mnie. Ujazdów na Mokotowie nie ucieknie, karuzeli nie zniosą tak prędko, a mam jeszcze chęć odwiedzenia i placu przyszłej wystawy Hygienicznej i przypatrzeć się czynionym tam z pośpiechem przygotowaniom.

??

Nowoczesne wychowanie kobiety.

Francuzka, pani hrabina Adbémar, śledząc ten ruch życia nowożytnego, który zwoimy postępowo skreśliła książkę, w której zapraagnęła wykaazać, co w zakresie pojęć i prac kobiety jest wśród rozwoju nowych pojęć z jednej strony potrzebą przemian pewnych, z drugiej siły tej zachowawczej, któraby nie pozwoliła zatracić skarbów przeszłości, przekazanych nam przez tych, co żyjąc i pracując przed nami torowali nam drogę do celów uszlachetnienia i udoskonalenia ludzkości. Wiek XIX otworzył nam szeroko podwoje wiodące do wiedzy; sztuka stała się przystępną niemal każdemu kto świętą iskrę natchnienia przyniósł ze sobą w życie, a jest to jedna z dróg prowadzących nas do tych rozkoszy czystych i wzniosłych, które broniąc od chęci poziomego używania, dać nam mogą z drugiej strony moce uszczęśliwiające przez ukochanie piękna, które się staje wtedy pojęciem dobra w jego wzniosłych przystosowaniach do obowiązków naszych. Należy też wychowawcom rozbudzać w młodzieży poczucia estetyczne, lecz przedewszystkiem dać jej to zamiłowanie, rozniecające iskrę poezji, która by pragnęła wcielić się w czyny życia, bo inaczej będzie to gra wyobraźni, nie wydająca żadnych rezultatów dodatnich.

Sztuka, pojęta jako wcielony ideał piękna, ma dla życia naszego znaczenie niemałe. Oddziaływa ona silnie na tych, którzy odczuwać ją umieją i autorka wykazuje to w słowach gorących, ostrzegając przecież, że jest sztuka wzniosła i sztuka pozioma. Natchnienie szlachetne tworzy piękno czyste i takie tylko może nam podnosić serca w łonie; wyrabiać jego zamiłowanie już w młodzieży, to udoskonalic jej smak i zwracać ją przez to w stronę życia prawą. Czesé oddawana pięknu czystemu, to obrona przed zasmakowaniem w nędznych, poziomych upodobaniach; autorka pisze też jako przestrożę, że rozkosz jaką nam daje uwielbienie piękna takiego, to natchnienie dla myśli a następnie dla czynów życia, uczciwie wiedzonego. Wychowanie, prowadzone na podstawach praw ewangelicznych, nie wytwarza bynajmniej ludzi posępnie surowych i jest ono tylko obroną od szarów namiętności — od dzikich wybryków, nie pohamowanych chrześcijańskim pojęciem przeznaczeń człowieka.

Czytanie, jak autorka rozumnie to pojmuje, wywiera silniej jeszcze wpływ dodatni, lub ujemny. Obrazy, kreślone piórem umiającym malować życie farbami gorącymi, mogą tak wzruszyć umysł młody, że nietylko wyobraźnia, ale zarazem i uczucie bierze je w siebie i nieraz życie całe może się pod tym wpływem uszlachetnić, albo poniżyć. Wytworzenie sobie pojęcia miłości czystej i podniosłej nie krzywi nigdy kierunków naszego życia. Montesquieu nie mylił się też pisząc, że żadna enota pojmowana w jej prawdziwie wzniosłej, nie może stać się dla nikogo i w żadnych okolicznościach życia szkodliwą. To samo twierdził Fenelon a biskup Dupanloup w traktacie o wychowaniu wykazuje to również i pisze, że chcąc usunąć miłość z pojęć o życiu, trzeba by zamknąć księgę historii, usunąć na bok literaturę i sztukę a następnie nawet i filozofię.

Należy przecież baczyć, aby uczucie to ukazywało się istocie młodej nie ze stron namiętności, aby było pojmowane podniosłe a wtedy wzruszając choćby najsilniej psuć nie będzie a przeciwnie wykaże, co może mieścić się w sercu człowieka ofiarności, poświęcenia szlachetnego, które bynajmniej nie odbiera nam szczęścia, ale przeciwnie darzy niem, bo dla tego kto kocha nie egoistycznie, szczęściem jest poświęcić się dla istoty ukochanej.

Ze smutkiem też dotyka autorka kwestyi owych samotnych, które nie zaznały w życiu tego podziału uczuć, gdyż nie zaznały one najwyższego szczęścia, jakie człowiek osiąść tu może, zadanie to przecież niełatwe do rozstrzygnięcia, bo składa się na to wiele przyczyn rozmaicie działających. Miłość, dla tego właśnie że jest miłością, pragnie uszczęśliwić ukochaną istotę, aby przecież uszczęśliwienie to mogło jej być danem, potrzeba zgromadzić tu wszystkie potrzebne do tego warunki i to jest szkopuł,

o który rozbija się nierzadko krucha-skarbaica ludzkiego szczęścia miłości. Nie odnosząc się już do myślicielki francuzkiej, możemy to śmiało powiedzieć, że wychowanie, które tworzy moralnie człowieka, rozstrzyga o doli i niedoli pary małżeńskiej, bo o jej osobistych szczęściach tego pojęciach. Mąż i żona powinni posiadać szczęścia owego ideał jednakowy, bo inaczej przyjdą wkrótce tęsknoty i żale z jednej strony, niezadowolenie z drugiej i miłość obniżyć się musi pod wpływem takiego stanu.

Autorka odzywa się przy końcu dzieła do matek i nauczycielek z żądaniem, aby nauczały młodzież nietylko dogmatyki miłości, ale i dogmatyki przyjaźni, która łączy szerokie koła ludzi i przyzywa je do pracy wspólnej w imie wielkich obowiązków ludzkości. Biada człowiekowi, który tego uczucia w piersi swej rozbudzić nie zdoła, bo nawet kochając pewne grono ludzi nie może podnieść się nad egoizm i w człowieku widzi przedewszystkiem nie bliźniego, ale osobistości, które mu są potrzebne do używania szczęścia przez słodkie własnego serca zadowolenie.

M. I.

ZWĄTPIENIE.

Gdzież uszło lato, gdzież uszła wiosna
Nadobna wdzięczną zielenią,
Gdzież ta symfonia życia radosna
I barwy, które się mienia?...
Wszystko zniknęło.., Liście i kwiaty
Bledną już, żółkną, wędnieją...
Bo ten przemożny pan, czas zębaty,
Kazał im niknąć koleją...

Ale te kwiatki, gdy wróci wiosna
Znow się w swej krasie odrodzą,
I zabrzmi ptasząt piosnka radosna,
Którą wśród gajów zawodzą.
Lecz kto utracił wszystko na ziemi,
Kto życiem stary choć wiekiem młody,
Ten nie odżyje z kwiatkami temi,
Dla niego wiecznie zima i lody...

Dla niego kwiaty wonią inaczej,
Zielenią swoją las się nie śmieje,
Wszystko dlań zmarło... wicher rozpaczy
Serce wysusza, w duszy szaleje.
A rozpacz, straszna duszy królowa,
Nie tknąwszy ciała, duszę zaleje,
W ciężkie kajdany myśli okowa
Ciasnym pierścieniem serca spowieje.

Kogo tknie ona skrzydły swojemi
Ten się umarłym staje dla świata,
Szczęścia nie szuka już na tej ziemi,
Myślą w ciemnicę grobu ulata,
Radby też rzucić ten padół płaczu,
Gdzie wciąż się z losem borykać trzeba,
Nie chce już życiu płacić haraczu,
Tęskniąc za cichym spokojem nieba.

Witalja B.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Krasnohorski w szczęśliwą dla siebie chwilę, przybył do Zarzecza; Orzelińska bowiem powróciła ze swej wycieczki bardziej jeszcze rozgoryczona i ostatecznie już zrezygnowana. Dumny właściciel Górek z chłodno pańską grzecznością, z przymusem nieledwie, wysłuchał jej opowiadania.

Siwe, o stalowym połysku jego oczy, patrzyły na Orzelińską z wyrazem, który aż nadto jasno wskazywał, że wszelkie sprawy tego świata Górek i przeznaczonej jego osoby nie dotyczące, są mu najzupełniej obojętne.

— Radzić komuś w interesach, jest zbyt wielką w obec własnego sumienia i ludzi, odpowiedzialnością—wyrzekł wreszcie, gdy skończyła. — Żeby się pani przy Zambrówce utrzymać mogła, o tem mowy być nie może... Towarzystwo sprzeda ją za kilka miesięcy, bo pani przecież brak pieniędzy, na zapłacenie raty...

O tem, by tę nieznaczającą dla niego sumkę, pożyczyć, ani pomyślał nawet.

Orzelińska oczywiście sama go o to nie zaczepiła i pożegnała wkrótce niegościnnie Górki, dając do Borówki.

— Szanowna, kochana sąsiadka! — wołał ujrawszy ją, z ganku jeszcze nadjeżdżającą, Borowski. I dalejże z powozu wysadzać, po rękach całować z rozrzewnieniem, z czułością nadzwyczajną.

Konie wnet do stajni odesłał, krzyżąc na furmana aby im samego bez sieczki obroku dali, zwodząc żonę, dzieci i służbę, by godnie i z sercem wylanem, rzadkiego, a miłego gościa przyjąć.

— Cóż? Jakże tam?—pytał, gdy już Orzelińską na najwygodniejszym miejscu w salonie posadził:— Ciężko idzie z gospodarstwem, co? Ot, bieda kobiecie samej, nieprawdaż? Każdy szarpnie... każdy dokuczy... Chciałem, Bóg świadkiem, chciałem dopomóc, czy radą, czy jak... Ale cóż! człowiek wiecznie zapracowany, skłopotany... Niech no pani dobrodziejka popatrzy... Jest o czem myśleć!

Istotnie poczciwy Borowski dzieci sobie nie żałował. Pomimo, że dwoje najstarszych obdarzyło go już wnukami, ostatnie latorośle rodu Borowskich po osiem, dziewięć lat liczyły. A szły tak sobie kolejną rok w rok, aż do dziesiątki doszło, kłopoty oczywiście i wydatki prowadząc za sobą.

Trzeba było zabiegliwości niesłychanej, aby ten drobiazg po bożemu wychować i wyposażyć jakoś na drogę życia.

Borowski objuczony był jak wielbłąd, ale serce pozostało zawsze poczciwe, pełne najlepszych dla bliźnich chęci i uczuć życzliwych.

— Niech szanowna sąsiadka wierzy—usprawiedliwiał się po kilkakroć — żem ja o Zambrówce nigdy nie zapomniał. Wybierałem się codziennie niemal pojechać, w interesach się rozejrzeć, choćby słowem przyjaznym, pokrzepić. Prawdę mówiąc, ten dzionek Boży taki skąpy, taki króciutki, nigdy nie starczy na to, co zrobić trzeba i tak szybko minie, że się nawet człowiek nie obejrzy.

— Czy pan przypuszcza, że mogłabym nie pozbywać Zambrówki?—spytała, korzystając z przerwy chwilowej, Orzelińska.

Stary się zamyslił i zafrasował.

— Nie godziłoby się, guiazda rodzinnego opuszczać...—szepnęła.—Dzieci są... Spadkobiercy najpierwi... To przecie pamiątka po ojcu, jedyna... Orzelińskiej, żyj w oczach zabłyśły.

— I ja tak myślę—odparła.—Bywają przecież okoliczności smutne, gdy chcąc cośkolwiek uratować, musimy najdroższe wspomnienia poświęcić... Borowski, tarł dłonią czoło zaszepione.

— Rozumiem, pojmuję!... — powtarzał, z zalem przyglądając się bladej twarzy kobiety, na której ból zawiędzonych nadziei i tyloletnia troska, wryły swoje piętno.—Gdyby się znalazł ktoś życzliwy a możny, gdyby sąsiedzi chcieli, wspólnymi siłami można by coś zrobić... Proponowałem i rada z Kaszubówki radził toż samo, niech każdy z sąsiadów coś odłoży, zepchnąć co pilniejsze... Odebralibyśmy sobie potem ratami, ale procentów nie ściągali, komorników nie nasyłali... Łatwiej byłoby wybrnąć... Ot, niedalej jak w miesiącu zeszyłem, obchodziliśmy srebrne gody w Oświęcimie. Zjazd był ogromny, ja tedy radcę kochanego do pomocy zaprosiwszy, dalejże do sąsiadów kołatać... To wstyd, mówię, to hańba, żeby oto wdowie i sierotom nie pomódz. Patrzymy na jej krzywdę, widzimy że ginie, a nasze obywatelskie sumienia śpią spokojnie... Czy pani myśli, że chcieli słuhać? Zakrzyżeli mnie, zakrzyżeli radcę, a że z nich każdy na pieniądzech siedzi, co go tam taki obchodzi, który nic niema... Abnegują wszelkie sprawy społeczne, wszelkie obowiązki obywatelskie i sąsiedzkie... Sobki, egoiści u których nie tylko umysł, ale i serce rachuje.

Zerwał się poczciwiec z fotelu i począł przebiegać pokój, podrażniony, zirytowany.

Borowska, cicha, dobrodusza kobietka, której pewne subtelne odcienienia w rozumowaniu i wysłowieniu się, nie były znane, odezwała się łagodnie:

— Oniby radzi od wszystkiego się usunąć i na jednego ciężar złożyć... Niech—mówią—Dembiński pomaga...

— Kto?—spytała pełna zdumienia Orzelińska.

— Dembiński. Ten poczciwy doktor z Zambrówki. Przyjaciel—mówią—niech pomaga!

Krew gorącą falą uderzyła do twarzy Orzelińskiej. Domyśliła się wszystkiego.

Borowski żonę ofuknął.

— Et, co tam plotki powtarzasz, Zebeiu—rzekł.— Dembiński sam, na kawałek chleba ciężko pracować musi... Cóżby tu on jeden poradził... Niech sąsiadka szanowna nie zważa... Wiadoma rzecz, że ludzkie języki odpoczywać nie lubią... Spłecie jeden głupstwo, powtórzy drugi, doda trzy razy tyle, trzeci...

— P. Dembiński to jedyny, wierny przyjaciel który mi w nieszczęściu pozostał... — wyszeptęła zgnębiona Orzelińska.

Gdy w parę godzin potem opuszczała Borówkę, w miejscu gdzie przy figurze Zbawiciela, krzyżowały się białe wstęgi bitego wśród zielonych pól gościńca, zatrzymała konie. Jechać dalej, czy wracać do domu? Na prawo, pod lasem błyszczały w słońcu złoczone wieżyczki pałacu, jednej z najbogatszych niemal posiadłości w kraju; gdzie okiem rzucić, rozsiane tu i owdzie wioski, śmiejące się do parzących dostatkiem i spokojem; okazałe dwory, bogate nadrzeczne łąki, stada bydła i koni... spokój, dobrobył! W promiennych blaskach wiosennego słońca, takie to było wszystko świeże i miłe i dziwną tęsknotę budziło w sercu patrzącej. Nadzieja jednak, otucha zamilkły. Po co będzie kołatać do serc zimnych i zamkniętych, po co dumę swą upokarzać. Kilka słów niewinnie przez Borowską rzucanych, zdecydowały ją ostatecznie.

— Jedź do domu, Walenty!—rozkazała służącemu i powóz potoczył się szybko, skręcając drogą ku lasowi.

Rozstanie z Zambrówką wydało jej się rzeczą postanowioną i nieuniknioną.

W zmęczonych jej oczach błysnął promyk nieledwie radosny, gdy za powrotem, zastała Krasnohorskiego w Zambrówce. Nie zauważyła natomiast bladej twarzy Olesia i wyrazu zaciętego uporu, jaki się w oczach jego przebił.

Obej dotąd wszelkim interesom, oddany nauce lub rozrywkom wiekowi swemu właściwym, po raz pierwszy dzisiaj dopiero, nie odstępował matki i Krasnohorskiego ani na chwilę, wyteżając wzrok i słuch, czując niespokojne bicie serca, przestrach ogarniający go coraz więcej...

Krasnohorski odgadł nieprzyjemne dla siebie usposobienie chłopca. Starął się wszelkimi siłami rozweselić go, przejednać napróżno!

Wieczorem przyjechał z matką Dembiński. Zobaczywszy najniespodziewaniej Krasnohorskiego, pobladł i z trudnością zapanował nad wzruszeniem.

Dostrzegła to jednak matka i westchnęła. Nie omieszkała przecież z całą serdecznością dopytywać się o kochane panienki a w szczególności, o swoją pieszczotkę Janinę.

— Kaprysi, wciąż kaprysi, szanowna pani—opowiadał Krasnohorski z pobłażliwym uśmiechem.— Choroba dziwnie ją zmieniła... Taka się stateczna, poważna panna z niej zrobiła... Ucieka od zabaw, od wszelkiego gwaru... Oczywiście pozwalamy jej na wszystko... Trudno choćby na chwilę zapomnieć, że w tak okropny sposób byłaby nam wydartą...

Rozrzewniło go wspomnienie i z niekłamana serdecznością zwrócił się do Dembińskiego.

— Wdzięczność nigdy nie wygaśnie w naszych sercach—rzekł, z uczuciem ściskając dłoń doktora.—Wspominamy kochanych państwa bardzo często... — dodał.— Żona moja i dziewczęta marzą o rychłym do Zarzecza wyjeździe... Jania dopomina się o niego natarczywie...

Poważna twarz Dembińskiego rozpromieniła się szczęściem, którego nie był w możności ukryć.

Orzelińska przyglądała mu się bacznie i, ze zwykłą kobiecie intuicją, odgadła tajemnicę. Z opowiadań Dembińskiej znała i panią Helenę i siołką, poważną Amelkę i kapryśną, o głębokim charakterze i uczuciach, Janinę. Umysł jej ogarnął wszystko w jednej chwili. Zatrwożyła się...

Prezes Krasnohorski wydawał jej się dumnym i zimnym człowiekiem, Janina niepowszednią wprawdzie istotą, ale—czy w obec tylu sere, które jej się oddawać będą, potrafi odróżnić to jedno wyłącznie sobie oddane, najwznioślejszych uczuć pełne?..

Dembiński począł jej badawcze na sobie spojrzeć. Uśmiechnął się.. Błogość dziwną czuł w pierśsiach, ukojenie słodkie, które nadzieja zobaczenia ukochanej sprowadziła. Z Orzelińską, byli oddawna na stopie czystej, wiernej przyjaźni. Ukrywał się przed nią, nie miał powodu.

Krasnohorski przejął uśmiech i spojrzenie i naturalnie, wytłumaczył je sobie fałszywie.

— Trzeba kończyć...—rzekł zaniepokojony gdy znalazł się sam w pokoju gościnnym.

Chęć nabycia Zambrówki potęgowała się w nim z chwilą każdą i odpędziła sen. Krótką noc majową spędził rachując, tworząc rozległe na przyszłość plany.

Dembińscy późno odjechali. Orzelińska powierzyła im swoje troski, prosiła o radę. W obec aż nadto ujawniającej się niecierpliwości prezesa, wartość Zambrówki podnosiła się nieco. Należało z tego korzystać.

— Pani stanowczo nie wytrwa...—przekonywała Dembińska, którą wielokrotnie ogarniała żalność gdy patrzyła na bezużyteczne wysiłki Orzelińskiej.— Trzeba też i zdrowie dla dzieci ochraniać... Nie tak nie zjada jak zgryzota i ciągły niepokój.

— Dzieci właśnie rozpaczają na myśl o opuszczeniu Zambrówki... — szepnęła Orzelińska.— Z trwogą patrz na Krasnohorskiego a z zalem czuję to, na mnie. Jakięto bolesnel!

— Popłaczą i zapomną... — pocieszała ją Dembińska.— Teraz oczywiście nie wiedzą co dla nich korzystniejsze... Jak że ty myślisz, Edwardzie?

Dembiński ocknął się z zadumy.

— Dla Zambrówki niema ratunku; mówiłem to już oddawna—rzekł.—Długi rość będą z procentów, ludzie wyzyskiwać, jak wyzyskiwali. Trzebaby mieć gotówkę w kieszeni i zmienić wszystkie warunki. Zjawienie się w obecnej porze prezesa z jego upartą chęcią nabycia Zambrówki, uważam za łaskę Opatrzności. Sprzedając z wolnej ręki, jakieś kilkanaście tysięcy, będzie można uratować.

— Tak, tak droga pani!—potwierdziła staruszka ujmując w uścisk serdeczny dłonie strapionej wdowy.

— Radzę, korzystać z okoliczności sprzyjającej... Prezes może się wreszcie rozmyśleć...

Przedyskutowali kwestyę wyczerpująco, a w życzliwym współczuciu obojga Orzelińska znalazła pociechę i trochę spokoju.

Północ dobiegała, gdy udając się na spoczynek, oddawna przyjętym zwyczajem, weszła do pokoju dzieci. Waciu i Irenka zasypiali spokojnie, zaróżowieni snem, uśmiechnięci... Łóżeczko Zosi stało puste, przez uchylone zlekką drzwi do sypialni Olesia, przeglądało światło palącej się dotąd lampy.

— Oleś chory i Zosia przy nim czuwa...— wyszeptwała przerażona biegnąc ku drzwiom. Podniesiony, wzruszony głos syna zatrzymał ją.

— Nigdy, nigdy nie przypuszczałem—mówił,— aby mama zdolną była wyrządzić nam taką krzywdę. Byłem przekonany, że mama na równi z nami czci i szanuje pamięć naszego ojca... Ach, Zosiu, Zosiu, jak to boli zawieść się na tych, których się tak głęboko ukochało...

Zamilkł na chwilę, bo w głosie czuć było ogarniające go coraz więcej wzruszenie, łzy, przed którymi się bronił...

Zosia łkała głośno.

— Nie mów tak o naszej mamusi... — prosiła— nie mów... Cóż ona pocnie, jeśli pieniędzy niema i ludzie tacy niedobrzy... Sam widzisz, jak mamie dokuczają...

Ale chłopiec ustąpić od swego zdania nie chciał.

— Ty się na tem nie znasz, bo jesteś kobieta— odezwał się z uporem. — Zawsze słyszę, że kobiety radzić sobie w niczem nie potrafią... Szerszyński też mówił, że mama gospodarować nie umie i dla tego musimy stracić Zambrówkę. Wiesz Zosiu, ja tego nie przeżyję! — wybuchnął z taką rozpaczą że słuchająca wykrzyku tego matka zachwiała się...

— O!—szepnęła zbiała ustami, —brzemie moje za ciężkiem się staje... Syn jej, ukochane, pierworodne dziecko, sądzić ją zaczyna, słucha podszeptu niekczemnego człowieka, w dziecinym prawie jeszcze żalu, czyni ją odpowiedzialną za przeszłość, tę okropną, pełną zgryzot przeszłość, w której nie ona przecież winowajczynią była. I nie może powiedzieć nic na swoją obronę, niczem fałszywego sądu dziecka złagodzić...

W zmaconym jej umyśle zarysowała się postać męża w pełni męskiego wieku i zdrowia, ojca czworga ślicznych dzieci, których był przecie opiekunem najpierwszym, a które jednak do uczciwego i pożytecznego życia przywiązać go nie potrafiły. Przecięła w namietność brudna, niska, kładąc na czole niewinnych dzieci plamę niestartą, gotując jej samej taką chwilę jak ta, którą obecnie przeżywa.

Wrodzona cierpliwość, słodycz jej, uległość zbuntowały się... Bezmiarem żalu, goryczy, wezbrało jej serce, wyrzuty cisnęły się na usta...

Trwało to chwilę ledwo i rozplynęło się w łzy rezygnacyi i cichego smutku. Znadto kochała by ziorzeczy potrafiła wspomnieniu tego, który przecie tyłu krzywd jej był powodem.

Po namyśle, odeszła cicho, nie mając siły widzieć teraz dzieci. Potrzebowała zastanowić się, przetrwać ból, coś przedsięwziąć...

Zgnębiona była, zrozpaczona. Opuściła ją chęć do wszystkiego, do życia nawet...

Wszak Oleś nie był już dzieckiem; powinien pojmować rzecz głębiej. W wybuchu jego boleści zdawało jej się, że odkrywa gwałtowne, egoistyczne cechy charakteru ojca, które tyłu klęsk były powodem.

Niemniej postanowienie sprzedania Zambrówki, umocniło się jeszcze. Pewną jest, że dla Olesia będzie to ciężkie przejście, że duszę jego długo, długo nurtować będzie żal, niechęć i oburzenie, ale rozsądny, trzeźwy kierunek wychowaniu jego nadany, twardy trud życia pokonają kapryśny, wybuchowy temperament chłopca.

— Będę cierpliwa i bardzo oględna... — przyrzekała sobie—i otucha wstępowała w jej serce. Jakkolwiek dla wszystkich dzieci żywiła jednakie, bezgraniczne przywiązanie, Oleś, jako najstarszy, przypominał jej krótkie, lecz najmiłsze, najjaśniejsze chwile z pogrzebanej na zawsze przeszłości, mogła już z nim nieraz pomówić rozsądnie, dumna była z jego zdolności i, choć sama może nie wiedziała o tem, miała dla niego więcej pobłażania i kłliwości.

Teraz przecie postanowiła wyrzec się wszelkiej słabości, a chcąc sobie oszczędzić przykrości i bólu, jutro zaraz nie wdając się w żadne z chłopcem dysputy, odeśle go do profesora u którego Oleś mieszkał podczas szkolnych miesięcy. Jej samej, także potrzeba spokoju, skoro Krasnohorski przybył z zamiarem ukończenia interesu który o całej ich przyszłości wyrokować będzie.

Popychana koniecznością oddawała Zambrówkę, oddawała tyle drogiej pamiątek, dach własny, co skołatana jej głowę, do końca życia miał osłaniać. Wiedziała, że czeka ją już tylko ciernista droga

upokorzeń i pracy, niepokonanemi niekiedy najeżona trudnościami dla kobiety, do walki z losem nieprzygotowanej, nie zahartowanej.

Na tym pięknym, szerokim świecie, nie miała nikogo koby jej dopomógł, wsparł niepewne kroki lecz to nie osłabiało jej odwagi. Najpotężniejszą dźwignią do czynu była dla niej myśl, że są istoty, które opieki jej potrzebują, istoty droższe nad wszystko, a słabe. Ona więc oszczędzać się nie będzie i ufa, że Bóg jej pobłogosławi na tej nowej drodze, że dzieciom swoim potrafi stworzyć przyszłość skromną wprawdzie, lecz pożyteczną.

— Trzeba mi tylko być zdrową ciałem i duchem...—powtarzała sobie po wielokroć w ciągu tej rozpaczliwie długiej i smutnej nocy, gdy strumień łez zalewał jej oczy, pierś rozsadzało łkanie.

I też chwila ciężkiej próby, zastała ją już silną.

Jakże pięknym był ten majowy poranek, który nazajutrz, wesołym blaskiem prawie letniego już słońca zbudził mieszkańców Zambrówki.

Powietrze było przejrzyste, przesiąknięte wonią w pełnym rozkwicie będącej wiosny, świeże barwy wabiły oko, śpiew radosny rozbrzmiewał przedziwną harmonją, chociaż złożyły się nań głosy najpospolszych śpiewaków.

Kropłe rosy porannej stały na kwiatach i liściach błyszcząc w osłepiających promieniach słońca, wszystkimi kolorami tęczy, figlarny wietrzyk wkradł się między osypane kwieciami jabłunki i grusze i białoróżowym kobiercem strząśniętych listeczków zaściewał ziemię.

Nigdzie fałszywego rozdźwięku, nigdzie barw brudnych, szarych...

Wesele, harmonja, spokój! W każdej najdrobniejszej istotce, wzmożona chęć do życia, niebiańska pieśń odrodzenia, którą wszystko w okół śpiewa.

Nawet pałac zambrowski ruiną swoją nie raził, spowity cały w fantastyczne sploty bluszczu, dziekiego wina i powoju, ukryty nieledwie w bogato liściem obrzuconych drzewach.

Przed biurkiem założonem papierami siedzi Orzelińska. Ubiegła noc pozostawiła jednak ślady na bladej, wyrazistej jej twarzy. W okół ust błędzi smętny uśmiech, w oczach przebija cała głębia tęsknoty...

Kończyła właśnie wykaz obciążających Zambrówkę długów, gdy drzwi uchyliły się zlekka i zalekniona Zosia, wsunęła się do pokoju. Twarzyczkę miała bladą, oczy od płaczu zaczerwienione. Drżały jej na ustach słowa, które wymówić chciała jak najprędzej, a tłumila je obawa sprawienia przykrości matce.

Orzelińska położyła pióro i spojrzała na córkę.

— Pójdź do mnie, Zochno... — rzekła łagodnie, wyciągając ku dziecku ramiona.

Zosia nie mogła zapanować dłużej nad sobą. Wybuchając płaczem rzuciła się ku matce.

— Mamo, czy to prawda, że Oleś odjeżdża? Wszak jeszcze do soboty miał pozostać z nami? — pytała pośród łkań z wyrzutem patrząc na matkę.

Orzelińska pogładziła z pieczęcią głowę dziewczynki.

— Oleś musi jechać, a ty Zosiu, niepotrzebnie się tak roztkliwiasz...—wyrzekła, pokonywając ogarniające ją samą wzruszenie.

Lecz Zosia rozpłakała się jeszcze rzewniej i kryjąc znekana twarz na piersiach matki, wyszeptwała:

— Oleś jest bardzo smutny i zagniewany. Oleś nie spał noc całą i płakał i mówił takie brzydkie, okropne rzeczy... Ach, mamo jakie okropne!...—dodała, wstrząsając się pełnym przerażenia ruchem.

Orzelińska drgnęła.

— Cóż tak okropnego mówił Oleś? — spytała obojętnie na pozór.

Zosia wlepiła w nią przerażone oczy.

— Powiedział że się utopi, albo zabije, jeśli mama Zambrówkę sprzeda...—wyszeptwała ze śmiertelną obawą, jak gdyby te okrutne słowa nierozważnego chłopca widziała już w czyn wprowadzone.

Orzelińska skamieniała.

— Uspokój się Zochno,—odezwała się po chwili, z trudem chwytając powietrze. — Przesłyszałaś się pewno... Oleś nadto jest rozsądny i kocha matkę... Wszak ty wiesz już o tem, dziewczeczko, że my życiem naszym nie rozporządzamy... Oleś oczywi-

ście zażartował z ciebie... Ale żart to brzydki i nie powinien być uczynić tego...

Zosia przecie zaprzeczyła energicznie.

— Nie mamo, nie żartowałam... — odezwała się z przekonaniem. — Oleś najprzód bardzo płakał i skarżył się, że mama nas nie kocha, ani Zambrówki, ani tatusia i...

— Dostosuj dziecko!—zawołała z przybranym spokojem Orzelińska.

Odsunęła córkę łagodnie i powstała.

— Gdzie jest Oleś?—spytała.

Ten o którego pytano sam dał odpowiedź. Od kilku chwil bowiem, stał we drzwiach niepostrzeżony i z ponurym ogniem w oczach przyglądał się matce.

I on był bladej i bardzo zmieniony. Wyniosłe jak u matki, bujną czupryną okolone czoło podnosił hardo, młodociane rysy powlekła powaga, z uporem zaciskały się usta.

Orzelińska rzuciwszy na niego okiem poznała odrazu, że chłopak chce się wyłamać od posłuszeństwa i uległości, że zbyt szybko dojrzał i niepodległości zapragnął.

Zadrzała. Przeczuwała walkę ciężką, bolesną, postanowiła jednak surową być i nieubłaganą.

— Dla czego mama wyprawia mnie z domu? — spytał Oleś trochę niepewnym głosem, bo blada ale dziwnym spokojem napiętnowana twarz matki zaimponowała mu.

Orzelińska nie odpowiedziała.

Uporządkowała papiery na biurku, odesłała Zosię z kluczami do śpiżarni i po długiej chwili dopiero całą siłą woli opanowawszy wzburzenie odwróciła się do syna.

— Nie zwykłam tłumaczyć się dzieciom ze swoich postanowień...—rzekła twardym, nie dopuszczającym żadnych uwag głosem.—Czyś gotów do podróży? Walenty już zaprzęga...

Podjęła parasolkę i skinęła na syna.

— Przypuszczam, że zechcesz pożegnać się z grobem ojca...—przemówiła łagodniej.—Pójdźmy oboje.

Wyszła, Oleś postępował za nią w milczeniu. Pieśczonej wprawdzie ale nawykły dotąd do posłuszeństwa chłopiec, mimo chęci oporu nie mógł się odrazu z karbów jego wyłamać.

Na ementarzu spokojj słodki panował. Cicho i dobrze musiało być tym, którzy tam po trudach życia odpoczywali. Wiosna umiała zielenią groby, kwiaty zakwitły, rój drobnych muszek brzęczał monotonną swą piosenką, jak gdyby do snu kołysał i zachęcał dusze znekane, serca boleścią dotknięte.

Przy grobowcu Orzelińskiego srebrno listne brzozy zwieszały bogate warkocze, wyniosłe tuje i świerki, smętny cień rzucały, śnieżno białe narcyzy i wonne fiołki delikatną, subtelną woń roznosiły w kryształowem powietrzu.

Matka i syn w milczeniu uroczystem przyklekli. Zaden odgłos burz i trosk życiowych, nie dochodził tu do nich ze świata, nad głowami mieli błękit przejrzysty, w okół kojącą ciszę.

Orzelińska, szczęśliwym instynktem wiedzona przywiodła tu swoje zbuntowane dziecko.

Żadne słowa, żadne perswazy nie przemówiłyby do niego wymowniej.

Zdawało mu się, idąc tutaj, że z łatwością wyrzuci z piersi gnębiące go przeciw matce zarzuty, że miłość dla rodzinnego gniazda zwalczy wszelkie skrupuły. A tymczasem teraz w umyśle jego powstał chaos, w sercu najsprzeczniejsze uczucia!

Po krótkiej modlitwie Orzelińska powstała i łagodnie, powoli odkryła przed synem starannie dotąd ukrywaną tajemnicę śmierci ojca. Nie obciążając oczywiście przeszłości jego wyrzutem najłżejszym, kładąc ową nieszczęsną dla nich wszystkich chwilę zapomnienia na karb osłabionego umysłu, wzywała przecie syna do zrehabilitowania dotkniętego zarzutem słabości niegodnej szlachetnego człowieka, ojca, do opieki nad sobą i rodzeństwem.

— Musisz być mocnym i za niego i za siebie...—mówiła, walcząc mężnie z ogarniającym ją wzruszeniem, bo widziała jak młodzieńcza postać syna gięła się pod brzemieniem otrzymanego ciosu.—Tu, w obec prochów twego nieszczęśliwego ojca, dowiedz się, że Zambrówka sprzedana być musi, lecz tobie pracą odkupić ją wolno, nieposzlakowanym honorem i uczciwością zmazać plamę na pamięci ojca ciężką. Nikt z tych, którzy mu zaufali, nie

powinien odejść zawiedziony. Czy mnie pojmujesz synu?

Teraz dopiero głos jej się złamał i po bladej twarzy obfite łzy popłynęły.

Chłopiec stał wyprostowany. Nie było łzy w jego oku płonącym ogniem, ale głębokie postanowienia.

— Matko — wyszeptał, klękając u stóp grobowca, — uczynię wszystko by przeszłość odkupić. Na imię tego, który tu spoczywa przysięgam ci, że nie dopuszczę, aby ktokolwiek z pogardą o nim wspominał.

Dumą jaśniała teraz twarz jego młoda, z oczu biły promienie zapału.

Nazajutrz w mieście N. sporządzono rejentalnie kontrakt sprzedający Zambrówki.

Prezes Krasnohorski tak zręcznie umiał pokierować interesem, że obarezonej czworgiem dzieci wdowie, pozostało jedynie 2,000 rubli jako ostatni, pozostały po bogatym niegdys dziedzictwie fundusz.

Koniec części pierwszej.

Menelik i jego państwo.

Okrutna porażka wojsk włoskich w Abisynii zwróciła uwagę całej Europy na ten zapomniany zakątek ziemi afrykańskiej, służący za teren zacieklej walki dwóch odmiennych ras ludzkich.

W ogóle Abisynja przedstawia się jako kraina górzysta, pokryta zadrzewionymi wzgórzami, przeciętymi pysznymi obszernymi dolinami, zroszonymi wodą wielkich rzek.

Miasta w Abisynii są mało zaludnione, ale nadzwyczajnie rozległe. Kilka z nich, a mianowicie Gondar, posiadają klasztory i kościoły, niestępujące w niczem tego rodzaju wspaniałym gmachom europejskim.

Abisyńczykowie są przeważnie średniego wzrostu, szczupli, a pomimo to silni, ruchliwi, odważni, doskonali jeźdźcy, przytem z zapałem oddają się rolnictwu i przemysłowi; prócz tych zalet wyróżniają się jeszcze gościnnością. W rodzinie szczególnie miłością i powagą obdarzają matkę.

„Unas — powiadają — matka jest powagą i wszechmocną w rodzinie: ona jedynie rozkazuje i do niej wszyscy się zwracamy w ważnych kwestiach.“ Są też tego zdania, że nawet Chrystus był posłuszny Tej, która mu dała życie, z kąd też zapewne wypływa wielkie nabożeństwo Abisyńczyków ku Najświętszej Pannie. Do Niej zanoszą najgorętsze modły, Ją szczególnie uwielbieniem i czcią otaczają.

Dla podróżujących po Abisynii najlepszą rekomendacją i najlepszym pasportem w obec krajowców, jest niebieski na szyi sznurek od szkaplerza, dający świadectwo protekcyi Najświętszej Maryi Panny. Znaczek ten zjednywa od razu serca, zdobywa sympatyę, otwiera wszystkie drzwi i oddala złe przygody.

Abisyńki są przeważnie piękne, z ciemną cerą neapolitanek, z dużymi wyrazistymi oczyma, z małym prostym noskiem; wysmukłe, zgrabne, z długimi jedwabistymi włosami hebanowej czerności, w wyrazie twarzy posiadają wiele wdzięku i niezrównanego uroku. Nie znają sztuki udawania i w oczach ich można czytać jak w otwartej księdze: widnieje w nich bardzo wyraźnie miłość lub obojętność, nienawiść czy też wzgarda, — zemsta, litość albo przebaczenie. Dlatego też w tej krainie odrębnych obyczajów rozmowa oczyma gra ogromną rolę. Wzrokiem się wyzywają, grożą sobie, lub czynią miłosne wyznania bez pośrednictwa choćby jednego wyrazu.

Jeżeli naprzykład w gronie pięknych kobiet młody człowiek upodobał sobie jedną i chce jej wynurzyć swoje uwielbienie, wtedy staje przed nią w zgrabnej pozie, rzuca przeciągłe spojrzenie i do lewej dziurki nosa wstawia mały palec lewej ręki, ozdobiwszy pierścieniami. Mimika taka ma oznaczać: „pani, u stóp twoich składam swoje serce i fortunę.“ Jeżeli dama zgadza się być wzajemną,

wtedy zakreśla pewny ruch wachlarzem i to stanowi jej odpowiedź. Wendetę znów oświadczają sobie w ten sposób. Obrażony wchodzi do domu swego rywala podczas jego nieobecności i zawiesza pod jego szablą pewną jadovitą roślinę, związaną czerwoną wstążką, do której jest przyczepiona kartka z jego nazwiskiem i godziną przybycia do domu jego nieprzyjaciela. We 24 godzin potem pomiędzy dwoma domami zaczyna się krwawa zaciekle wojna, którą prowadzą nie tylko sami przeciwnicy, ale również i obustronni ich sprzymierzeńcy.

Kiedy obecny władca Abisynii, Menelik, objął tron przodków, znalazł swoje państwo nieledwie w rozprzężeniu z powodu wewnętrznych nieporządków, które nie od razu udało mu się ukrocić. Król Szoa, Lew zwycięzki judejskiego szczerpu, Wybraniec Pański, Król królów etjopskich — oto tytuły, jakie dumnie sobie przywłaszczył Menelik, potomek Salomona. Wytrwałością, siłą woli w połączeniu ze zręczną dyplomacją, potrafił on przywrócić państwu dawny urok i potęgę, silnie przez swoich przodków zachwianą.

W krótkim czasie po objęciu tronu, przyzwawszy do pomocy wielu europejczyków, stworzył Menelik armję złożoną z 200,000 ludzi, porządnie umundurowaną i zaopatrzoną w doskonałą broń.

Królestwo abisyńskie mieści się na szerokiej przestrzeni, jaka się ciągnie od Morza Czerwonego do wielkich jezior Nilu. Zobaczywszy francuzów osiadłych w Obock, włosi, oddawna czatujący na bogatą abisyńską ziemię, postanowili posunąć się aż do Assab. Zamieszanie, wywołane w Europie zajęciem Egiptu przez anglików, którzy posunęli się aż do Zeilah, ułatwiło włosom zajęcie Massawy, w ten sposób trójprzymierze postanowiło ścieśniać francuzów w Obock i znieść niepodległość Abisynii.

Menelik, zostawszy królem Etiopii, zobaczył swoje terytorium zapełnione włoskimi misyami, które niejako francuzi protegowali, nie zwracając wiele uwagi na inwazyę włoską. To też włosi bez wielkich przeszkód posuwali się coraz dalej w głąb kraju i zabierali posiadłości francuzkie bez żadnej opozycyi ze strony rządu francuzkiego. W ten sposób zatoka Adulis i Harrar dostały się w ręce włosów i wtedy to francuzi spostrzegli swoją nieuwagę i dopiero po długich pertraktacyach włosi odgraniczyli swoje posiadłości od francuzkich kolonji. Wtedy też właśnie Crispi podpisał w Ucciali z Menelikiem traktat, którego paragraf 11 podstępnie opiewał, iż w kwestiach dyplomatycznych Negus powinien do mocarstw europejskich zwracać się za pośrednictwem Włoch.

Uzyskanie takiego warunku było zręcznością dyplomatyczną a zarazem niegodnym podstępem, gdyż Menelik o nim nie wiedział, a przystał jedynie na to, aby w razie potrzeby mógł się powołać na pośrednictwo włoskie. Po takim fakcie utwierdzono w tem przekonaniu wszystkie państwa, że Abisynia przyjęła protektorat włoski.

Sporządzono następnie do Rzymu doradcę Menelika, Ras Makonnen'a, podejmowano go z wielką okazałością, i wypłacono mu na rzecz jego monarchy cztery miliony lirów, płacąc w połowie talarami, w części wojennymi utensyljami, a pozostałą niewielką sumę policzono na koszt pobytu Makonnen'a w Rzymie.

Wkrótce potem znaleźli się usłużni przyjaciele, którzy dostarczyli Menelikowi urzędowych dowodów podejścia włosów. Po przeczytaniu tego dokumentu, Menelik w niepohamowanym gniewie podarł na kawałki cały traktat włosko-abisyński. A kiedy Crispi przed całą Europą starał się zaprzeczyć o nastąpieniu wypadku, jednocześnie wysłał pospiesznie hr. Antonelli do Afryki, aby ugłaskał pseudo-protegowanego władcę Abisynii. Było to niefortunne poselstwo, gdyż włoski pełnomocnik nie otrzymał nawet audyencyi u Menelika, a o tem głośnem niepowodzeniu dowiedziano się wszędzie.

Od tego czasu Negus przedsięwziął starania o zwrócenie do Rzymu czterech milionów otrzymanych ze skarbu włoskiego, a jednocześnie oznajmił Anglii, Austrii, Francji, Hiszpanii i Rossji o swej zupełnej niepodległości. Od tej chwili pozostał względem Europy zupełnie neutralny, zręcznie ukrywając swoje sympatyę. Rozumiał doskonale, że takie postępowanie jest dla niego i dla jego mocarstwa najwygodniejsze i najkorzystniejsze, o co mu właśnie chodziło.

Dalsze wypadki dowiodły, że zręczniejszym od Crispiego dyplomatą okazał się Menelik, waleczniejszą od włoskiej, armia barbarzyńskich szoanów, która zadała taki cios bohaterom włoskim.

Armja Negusa jest jeszcze na wpół feudalna. Złożona z rozmaitych żywiołów nie posiada może równości, posiada jednak siłę. Przyboczną honorową gwardyę Menelika stanowi korpus doskonale uzbrojonych paziów, zwanych *balonnonalami*. Część właściwej armii uformowano z niewolników królewskich.

Serce armii stanowi 60,000 lekkiej kawalerji, uzbrojonej w szybko strzelającą broń najlepszego systemu, dalej taka sama liczba ciężkiej infanterji, niegdys zaopatrzonej w przestarzałe kapiszonówki, dziś zaś uzbrojona podług nowych wymagań sztuki wojennej. Kawalerya liczy 40,000 jeźdźców, znakomicie wyćwiczonych, silnych, zdrowych w bardzo dobrą broń zaopatrzonych.

Artylerya posiada dwanaście wielkich dział i kilkanaście kartaczońnic.

W ogóle armja abisyńska na przypadek wojny może wystawić 200,000 doskonałych wojowników.

Nie wszystkie oczywiście oddziały wojska posiadają tę samą wartość wojenną; w każdym razie należy liczyć się z tem, że abisyńczykowie mają w ogóle pogardę śmierci, niezwykłą odwagę i zupełną na wszystko rezygnację.

Zresztą dowiedli, iż nie mają również pogardy dla zręcznej wojennej organizacyi i mądrej strategii.

Nie ulega wątpliwości, że powyższych zalet nauczyli się od przebywających w Abisynii europejczyków, gdyż doniedawna cała armja i jej wojenne obyczaje były zupełnie inne.

Francuz Julian Borelli skreślił zajmująco obraz dawnej armji szoanów, szykującej się do wojny; od niego też kilku słów poniżej zapożyczam. „Widok był — pisze Borelli — rzeczywiście malowniczy: z całego kraju na ognistych rumakach śpieszyła dziarska konnica w różnorodnej odzieży do głównej wojennej kwatery. Ze 20,000 jeźdźców uzbrojonych w krzywe szable i ciężkie strzelby, okrytych białymi w czerwone pasy burnusami, wyglądało jak pochód fantastycznych duchów.

Taka wojenna siła skupiała się wokoło króla, siedzącego na spokojnym bogato przybranym mule. Obok króla postępowali żołnierze, trzymając rozłożony nad nim czerwony parasol. Dwóch żołnierzy na koniu trzymało królewską broń i tarczę. Z boku szły kobiety, przeznaczone do przyrządzania pożywienia dla monarchy i całej armii.

Z dwóch stron króla postępowali na małych mułach jeźdźcy w czerwonych kostyumach, bijąc na bębnach wojennego marsza. Na samym przodzie wojennego orszaku prowadzili małego konika z koszykiem na grzbiecie, pokrytym czerwonym sukniem. W koszyku tym spoczywały księgi święte, mające chronić całą armję od nieszczęścia. Od czasu do czasu cała armja wydawała przeciągłe okrzyki, zachęcające do boju.

Przed zaczęciem bitwy król wypowiadał słowa: „Ezghaer effa jedu“ t. j. idźcie, niech was Bóg prowadzi.

Dalej Borelli opisuje scenę wojenną zakończoną zwycięstwem, orgię szoanów na placu walki i rozdanie zdobytych łupów.

Opis tak niedawnych jeszcze obyczajów i zwyczajów wojowniczych szoanów świadczy wymownie, jak czasy się zmieniły i w jak krótkim przeciągu lat umiał Menelik wszczepić w swój naród uczucia więcej ludzkie. Niezadługo zobaczymy, czy on sam potrafi mądrze i po ludzku wyciągnąć korzyści ze swego zwycięstwa nad włosami.

Daleko ciekawsze szczegóły o samej osobie Menelika podaje także francuz i dziennikarz, Kazimierz Mondon, oddawna przebywający na dworze afrykańskiego króla w charakterze redaktora dziennika urzędowego abisyńskiego. Jest to rzeczywiście niebywałym faktem, aby obcokrajowiec a do tego europejczyk zdobył tyle zaufania i wpływu nad pełnym kastowych uprzedzeń królem i potrafił skierować wschodniego księcia nie tylko do poglądów europejskich, ale i przekonać o potrzebie działania prasy, jako najpiękniejszej zdobyczy narodów cywilizowanych.

W ostatnich czasach dzienniki francuskie wiele miejsca poświęciły Kazimierzowi Mondon, wyrażając się o nim rozmaicie, najczęściej źle. Tymczasem były dziennikarz francuski jest sobie poprostu śmiały i inteligentny langwedowezyk, z akcentem południowym, skończył nauki w Paryżu i zaczął karierę od dziennikarstwa, pracując w Gil Blasie i Estaffecie. W trakcie tego pewna firma kupiecka zaproponowała mu otworzenie i prowadzenie swojej firmy w Obock. Śmiały i energiczny dziennikarz propozycji tej się nie uląkł i wkrótce odpłynął do Afryki. Po kilku miesiącach pobytu w Abissynii nauczył się trochę miejscowego języka, ułożył gramatykę francusko-abisyńską i z tą pracą przedstawił się na dworze Menelika a pomału doszedł do wielkiego nad nim wpływu, do dziś dnia trwającego.

Kiedy myśl założenia dziennika została przyjęta przez Menelika, tenże wysłał Mondona do Francji, aby sprowadził potrzebnych robotników i stosowne materiały, co wcale nie było łatwym ze względu na niechęć francuzów do opuszczania rodzinnego kraju. Mondon jest w trakcie pisania dzieła, które rozjaśni wiele ciemnych punktów, powstałych na tle ostatnich wypadków włosko-abisyńskich.

Posłuchajmy, co mówi Mondon o władcy Abissynii.

„Menelik jest postacią wielce zajmującą; posiada on w sobie cechy romantycznego bohatera, dowódcy i kapłana. Urodzeniu jego towarzyszyły niezwykłe okoliczności, niby wyjęte z tysiąca i jednej nocy. Ojciec Menelika, król Hoelu usłyszał pewnego dnia, iż jakaś młoda żebraczka nadzwyczajnej piękności przybyła do bram pałacu. Zaciekawiony władca sprowadzić ją kazał do siebie, został oczarowany jej pięknoscią i z niej to narodził się dzisiejszy król Abissynii, Menelik. Z początku król Hoelu nie chciał przyznać dziecięcia i dopiero po pewnym czasie, ulegając szlachetniejszym uczuciom, zdecydował, że jeżeli dziecko okaże się do niego podobnym, przyzna je za swoje. Zebrani dworzanie orzekli o istniejącem podobieństwie i Menelik pozostał na dworze. Otoczono go nauczycielami i przyszły władca chętnie chwycił wiedzę i robił poważne postępy naukowe. Dla tego też Menelik intelektualnie stoi daleko wyżej od całego narodu i zajmuje go wszystko to, co prowadzi do postępu, a w szczególności wszelkie wiadomości o warunkach dzisiejszego prowadzenia wojen interesują go niezmiernie.

Oprócz tego zajmuje się on pilnie matematyką i mechaniką. Kilka lat temu, dostawszy w podarunku kartaczożnicę, sam ją złożył i ustawił, ciesząc się bardzo ze swojej zręczności.

Można powiedzieć, że z chwilą, kiedy wniesiono przybyłe z Europy paki z czcionkami do pałacu królewskiego, Menelik dał do siebie przystęp nauce, sprawiedliwości, łagodności, tolerancji i wielu innym cnotom, oddawna rozkwitłym w starej Europie. To też obecnie nie można nazwać negusa dzikim barbarzyńcą, gdyż nie ma on nic wspólnego ze swymi dawnymi braćmi, kannibalami zwrotników Afryki.

* * *

Kronika działalności kobiecej.

— W zakładzie sierot chłopców, mieszczącym się w gmachu poddominikańskim przy ulicy Freta, p. Balbina Zalewska wraz z przełożoną zakładu starszą siostrą miłosierdzia, Kossakowską, uczestniczyły w akcie dobroczynnym rozdawania święconego. W ochronie przy ulicy Ciepłej akt ten odbył się w przytomności opiekunek, p. p. Oskarowej Zilmowej i Jadwigi Knoliowej; przy ulicy Topiel towarzyszyły mu p. p. Konstancja Swołyńska, Kazimierzowa Wisłocka, Tadeuszowa Łapińska, Irena Karłowiczowa, Jaworska, Kazimiera Skrzyńska, Leokadya Rydzikowska. W lokalu opiekuna Hawsewicz brały udział w rozdawaniu święconego dla 120

rodzin p. p. Niedobylska, Wanda Baraniecka z siostrą Kazimierą Rydzikowską.

— W Towarzystwie opieki nad biednymi matkami i ich dziećmi rozdano w przytomności p. p. protektorek: ks. Woronieckiej, Maryi Kossakowskiej i Maryi Wrotnowskiej, święcone dla przeszło stu kobiet. P. Kossakowska zebrała staraniem swoim święcone dla ubogich mężatek, które korzystały niegdyś z dobroczynności Towarzystwa. Rozdzieleniem święconego, które składało się z pieczywa, jaj i mięsiva, zajmowały się obok pań protektorek panny: Jeżewska, Pierling, siostry Zarzyckie i Żółkowska.

— Na posiedzeniu wydziału kasy pożyczkowej dla bon i nauczycielek w Warsz Towarzystwie Dobroczynności odbyły się narady pod przewodnictwem p. Waleryi Warnka, na którym urządzono urządzenie koncertu na korzyść zasilenia funduszów kasy. Do komitetu zaproszono p. p. Cieszkiewiczową, Diksztejnową, Gebethnerową, Kietlińską, Morawską, Rozeiszewską, Sawicką, Sniegowską i Jadwigę Warnkę.

— Kantor przy ulicy Niecałej, zajmujący się wyszukiwaniem pracy, wykazał iż w okresie dwumiesięcznym pracodawcy żądali 2,227 osób, a zgłosiło się ich tylko 1042, pomiędzy którymi 41 gospodyń wiejskich, 10 buchalterek, 26 krojczyń, 126 nauczycielek z wyższem wykształceniem, 180 bon i 32 nauczających metodą freblowską. Dowodzi to że nie ma u nas braku pracy, ale brakuje pracujących.

— P. Józefa Siemiradzka zamierza otworzyć w mieście naszem z początkiem przyszłego roku szkolnego specjalne kursa dla kobiet, chcących oddać się zawodowi handlowemu. Program nauk zawierać będzie języki nowożytnie, rachunkowość i korespondencję handlową, towaroznawstwo, stenografią, oraz prawo handlowe i wekslowe. Kurs nauk ma być dwuletni.

— Zmarła hr. Żalska Aniela, właścicielka dóbr Łazisk, poczyniła znaczne wpisy na cele dobroczynne, oraz dla służby, wkładając na głównego spadkobiercę, hr. ordynata Zygmunta Krasieńskiego, wypłacanie tych legatów, a to na szpital Ś-go Kazimierza w Radomiu 5,000 rs., oraz na trzy kościoły: w Mińsku, w Zakrzewiu i w Jarosławicach po 500 rs. Przeważnie obdarowała służbę swoją a w tej liczbie rządząc majątków, Franciszka Rakowskiego, któremu zapisała 30,000 rs., dodając w akcie zapisu wyrazy wdzięczności za jego prawość, połączoną z życzliwością i przyjaźnią, zakończając przekazaniem mu obok tego obrazu Pana Jezusa, przed którym się zwykle modliła. Legaty, przeznaczone dla służby, zawierają: najmniejszy rs. 100, największy rs. 300. Między darami dla przyjaciół i znajomych bliższych jest wiele pamiątek historycznych, które pani ta gorliwie zbierała i przechowywała.

— Międzynarodowy kongres dla spraw kobiecych zapowiedziany został w Berlinie na wrzesień r. b. z trwaniem od 19 do 27 tegoż miesiąca.

— Stowarzyszenie niemieckich kobiet wybrało Katarzynę Schirmacher, zaszczyconą godnością doktora filozofii, na delegatkę niewieściego kongresu, który się zebrał w d. 8-go kwietnia w Paryżu.

— Frankfurtskie Stowarzyszenie kobiet z celem kształcenia się praktycznie naukowego, liczyło z końcem ubiegłego roku 701 członków. Szkoła, założona przez Stowarzyszenie, przyjęła uczennic 315, z pośród których uczyło się prowadzenia ksiąg 52, rachunku wyższego 45, pisania czytelnie kaligraficznego 44, świeżo zaprowadzonego pisania na maszynie 8, stenografii 8, języka niemieckiego 46, angielskiego 50, francuzkiego 46, rysunku 46, krawiectwa 104, białego szycia 62, haftu 108, wyrobów ze skóry 7, wyrzynania na drzewie 7, oprawiania ksiąg świeżo zaprowadzonego 5. Ochronka Stowarzyszenia mieści 54 dzieci, zakład kształcący ochraniarki wedle metody Frebla liczy 10 uczennic. Stowarzyszenie to, dzięki któremu 76 młodych dziewcząt znalazło sobie pracę, dającą im utrzymanie, wynajmuje od miasta za 6,000 marek kamienicę obszerną; na wybudowanie własnego domu tej pożytecznej instytucji. Towarzystwo politechniczne pożyczyło 5,000 marek.

— Królowa Wiktorya angielska postanowiła aby księżęta krwi pobierali nadal nie tak jak obecnie naukę prywatnie im udzielaną, lecz kształcili się

w szkołach publicznych ze względu na wyrabianie się społeczno obywatelskie.

— Miss Strong misyonarka, wygłosiła w Londynie bardzo zajmujący odczyt o działaniu Towarzystwa misyjnego w Chinach. Wraz ze światłem, która te służebnice boże niosą tam kobietom miejscowym, wiara chrześcijańska znajduje coraz to więcej zwolenników, a w miarę tego okrutny zwyczaj zabijania w rodzinach pewnej ilości dzieci nowonarodzonych, zanika. Chinki posiadają umysł zdolny przyjąć wiedzę oświecającą drogi życia, pojmowanego według religii chrześcijańskiej, zwłaszcza że wraz z tą nauką przedstawiają im się horyzonty życia, które podnoszą istotę ludzką nad poziom niskiego egoizmu. Miss Strong zamierza skreślić książkę opisującą dzieje misji chrześcijańskich w Chinach.

— Na uniwersytecie w Heidelbergu młoda panna, Anna Gebser, otrzymała tytuł doktora ze szczególnem odznaczeniem „magna cum laude“ za rozprawę jakim był wpływ królowej Kunegundy na politykę Henryka II?

— Asystentką prof. Baer w berlińskim zakładzie dla obłąkanych została młoda panna, D-r Singlinda Seir, której powierzono nadzór nad kobietami.

— Niewieścia szkoła przemysłu została otwartą w Eisenach dzięki hojnej ofierze zacnej pani Elżbiety von Eichel, pojmującej potrzebę rozszerzania środków zarobku kobiet.

— Katarzyna Schirmacher, posiadająca godność doktora filozofii, została wydelegowaną przez zgromadzenie kobiet niemieckich na kongres kobiet francuzkich, który został otwartym w d. 8-go kwietnia.

— Malarka, Wilma Parlaghi, otrzymała od króla wirtenberskiego złoty medal zasługi, przeznaczony jako nagroda za wyższe dzieła sztuki. Jest ona rzeźbiarką.

— Na wystawie w Rio de Janeiro przyznano malarce francuzkiej, rodem z Alzacji, Alinie Worms, medal złoty a obok tego rząd brazylijski zamówił u niej dwa obrazy przeznaczone do muzeum narodowego.

— Lord major Londynu zwiedzając szpital kobiet i dzieci, wzniesiony kosztem rządu za panowania królowej Wiktoryi, uznał go za najlepiej prowadzony wśród takich zakładów londyńskich a to wskutek bogatych jego zasobów, składanych przez kobiety, tak doraźnie jak i stale. Dodać tu trzeba, że składki te dobrowolnie wnoszą nierzadko osoby zupełnie niezamożne z klas pracujących na życie, te przeważnie które tutaj przyjęte były w czasie choroby. Jest to rozum godny naśladowania, który im każe pielęgnować dobroczynną tę instytucję.

— Miss Anna Klug, zawiadująca londyńskiem Schronieniem nauczycielek, którym wiek każe już odpoczywać, rozszerzyła ten zakład przez przyłączenie do niego gościnnej gospody dla osób szukających miejsca, które zarazem mogą się kształcić wyżej w pewnych przedmiotach, wykładanych zbiorowo, co daje im możność rozszerzenia wiedzy swojej kosztem tańszym, niżby to czynić można pobierając lekcje pojedynczo. W roku ubiegłym przebywało w Schronieniu czasowo 1,417 nauczycielek, z pośród których 680 otrzymało miejsca, a w 1894 roku 746. Dodać należy iż panie angielskie uważają zakład ten za instytucję z jednej strony wielce dobroczynną z drugiej pożyteczną dla rodzin, składają na jej rzecz ofiary znaczne.

— Miss Małgorzata Irwing, należąca do składu królewskiej komisji pracy, wygłosiła w Glasgowie odczyt o przemysle kobiet w ogóle i o przemysle kobiet szkockich w szczególności, wskazując jego znaczenie w ekonomii rodzin. Wyrób płótna podniesiono jako przedmiot ważny, ale należy go udoskonalic przez sposoby tak przedzenia, jak i tkania przy pomocy maszyn, mogących służyć do użytku domowego.

— Niewieścia rada edukacyjna stanu Yorkshire wniosła do M-rs Edison na czele na ogólnem zgromadzeniu członków potrzebę nakłaniania matek do przyuczania córek młodych do tych prac niewieściech, które by im pozwoliły z czasem zaopatrywać rodzinę w odzież, wyrabianą w domu. Zarobek prac w tym zakresie ma znaczenie niemałe, a co więcej jeszcze broni kobietę od pustki w życiu, która często sprowadza ją z prostej drogi obowiązku na grunt niebezpiecznie ślizgi.

— Kobiety francuzkie wniosły do Izby deputowanych petycją z podpisami 480,000 osób, żądając ustanowienia święta narodowego Joanny d'Arc. Cztery wielkie paki tych żądań złożono w korytarzu Izby.

— Dwie francuzkie siostry miłosierdzia otrzymały od ministra wojny medale honorowe: siostra Zenaida, która podczas ostatniej kampanii w Madagaskarze poświęcała się ofiarnie opatrując rannych i pielęgnując chorych dniem i nocą, a dodać należy że świętobliwą tę służbę spełnia tam ona już lat przez piętnaście. Drugą, równie poświęcającą się służbie bliźniego i Francji, jest Krystyna Bryam przełożona szpitala w Madagaskarze także, gdzie przez lat trzynaście spełniała świętobliwą swoją służbę miłości bliźniego i Francji.

Z bieżącej chwili.

— Pobór składki od ubezpieczonych budynków w Warszawie i na Pradze urwać będzie do d. 12 maja włącznie; po upływie tego terminu opóźniających się spotka egzekucya oprócz doliczenia procentu w stosunku 1% za każdy miesiąc opóźnienia w składaniu opłat. Składki należy wnosić na ręce właściwego kasjera.

— Rozpoczęte już zostało sadzenie drzewek po obu stronach Krakowskiego Przedmieścia; komitet zamierza zadrzewić wszystkie szersze ulice miasta w ciągu lat kilku.

— W Przytułkach sierot Warszawskiego Tow. Dobroczynności mieści się obecnie sierot 364, a to 204 chłopców i 160 dziewczynek. Pod budowę przytułku dla rzemieślników zakupiony plac przy drodze za rogatkami wolskimi, wiodący od ul. Wolskiej do cmentarza ewangelickiego. Budowa rozpocznie się wkrótce a ukończoną będzie w jesieni. Zanim to przecież nastąpi, zamierzono urządzić w budynkach na gruncie tym istniejących przytułki dla 30 pensjonarzy.

— Zaeni inicjatorowie nowego przytułku dla paralityków zakupili pod budowę gmachu część placu przy Kościele Ś-go Augustyna od strony ulicy Dzielnej. Za plac zapłacono 15,006 rs.; budowa rozpocznie się wkrótce.

— Gabinet bakteriologiczny urządzony będzie wkrótce w szpitaliku dziecięcym przy ulicy Aleksandrya; z powodu ograniczonego funduszu nakład liczyć będzie 706 rs.

— Kwestya mieszkań niezamożnej ludności miasta naszego ma znaczenie ważne tak filantropijne, jak i zdrowotności mieszkańców. Podniesiono ją właśnie w książeczce ilustrowanej „Mieszkania dla robotników,” gdzie autorowie jej: Dr. Józef Tchórzniński i Rajmund Wojnicz wykazują w słowach gorących, że mieszkania te są bardzo nędzne i stosunkowo bardzo drogie, a przecież mieszkanie to kardynalna podstawa zdrowia.

— W niedzielę d. 20-go bieżącego miesiąca liczne grono pań i panów ma się udać do Żelazowej Woli dla obejrzenia pomnika Chopina, a dodać trzeba, że wyprawa ta odbędzie na bicyklach.

— Otwarcie pierwszej ochrony dla dzieci rodziców, którzy udając się do pracy, muszą zostawiać dzieci bez dozoru, nastąpi w d. 25-ym b. m. Ochrona ta, którą błogosławić należy, mieścić się ma przy ulicy Drewnianej pod Nr 7, w pięciu dużych stancyach.

— W d. 14-ym Kwietnia odbyła się w fabryce p. Englisza przy licznej zebraniu ludu, uroczystość

poświęcenia wielkiego dzwonu, ważącego 2,500 funtów a odznaczającego się wdzięcznym tonem minorowym. Aktu tego dokonał ksiądz biskup Ruszkiewicz, poczem dzwon ten przeznaczony do kościoła w Różanach w powiecie Słonimskim, został wysłany na miejsce przeznaczenia.

— „Wiek“ umieścił w szpaltach swoich odezwe p. Michała Rawicz Witanowskiego, który pisze, że zbierając od dawna materiały do historii indygenatu w dawnej Polsce, których brak w piśmiennictwie naszym heraldycznym dotkliwie czuć się daje, prosi wszystkich, czy to pochodzących od rodzin szlachty zagranicznej, zaszczyconej klejnotem rycerstwa polskiego, czy też posiadających w zbiorach swoich odpowiednie rękopiśmienne lub drukowane źródła, o nadsyłanie ich wyżej wymienionemu, a które po spożytkowaniu ich zwrócone będą. Że Leraldyka łączy się z historią wewnętrzną kraju, badania takie mają wagę swoją nie tylko dla pewnych osobistości.

— W kościelnej wsi Łuczynie pleban miejscowy, ks. Jaźwiński, znalazł w kamionce, okalającej cmentarz parafialny, kamień z napisami runicznymi po obu stronach. Dla tymczasowego przechowania oddano go dziedzicowi miejscowemu, p. Grabskiemu, a że właśnie dokonywała się restauracya kościoła, głaz został wmurowany w jedną ze ścian świątyni w sposób taki, że może być widzialnym dla pragnących badać napis. Fotografie, przesłano do Francji i Anglii uczonym starożytnikom, nikt przecież napisu nie odgadnął.

— Wystawa okazów przemysłu krajowego, otwarta we Lwowie w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca, mieści się w dawnym lokalu Kasyna miejskiego, urządzona staraniem Towarzystwa zachęty przemysłu krajowego, a zawiera w sobie przedmioty zwyczajnego, codziennego użytku, wyrobione w kraju, więc dostępne dla wszystkich z powodu cen niewysokich. Wyroby przemysłu niewieściego, kilimki i koronki są bardzo gustowne i przedstawiają już nabytek cenny dla przemysłu miejscowego. Na pierwszym miejscu stoją wyroby szkoły koronkarskiej w Zakopanem, oraz tkackie a zarazem szkoły sukienniczej w Rakszawie. Znajdują się tu i okazy nadesłane z Krakowa. Wystawa, przez dni kilka w tygodniu bezpłatna, jest też licznie odwiedzana przez wszelkie klasy ludności i to stanowi wielką jej zaletę, bo tworzy to niejako wzory pracy.

— Teatr lwowski przeszedł w d. 5-tym bieżącego miesiąca pod dyrekcją spółki D-ra Bandrowskiego i Hellera. Ubikacye teatralne wynajęto od dzierżawców gmachu Skarbkowskiego za 16,000 zł. reń. rocznie, w Wiedniu zamówiono za 12,000 zł. reń. nowych kostiumów i dekoracyi. Kierownikiem dramatu i komedyi będzie Roman Żelazowski, były reżyser sceny lwowskiej a jestto rzeczą ważną kto tu miejsce zajmie, bo wpływy teatru na publiczność mają zawsze i wszędzie znaczenie niemałe.

— Zgromadzenie Towarzystwa wzajemnej pomocy dziennikarzy lwowskich odbyło w pierwszych dniach kwietnia sprawozdanie, wykazując że majątek Towarzystwa przedstawia około 34,000 koron. Wydział Towarzystwa rozwinął w roku zeszłym czynność energiczną i znacznie majątek jego powiększył. Członków rzeczywistych liczy ono około 60, członków wspierających jest liczba znaczna a między nimi znajdują się instytucye publiczne, opłacające stale kwoty znaczne, co przyczynia się wiele do powiększenia majątku Towarzystwa. Prezesem wybrany został ponownie na rok bieżący Liberat Zajączkowski, wice-prezesami są p. p. Skrzyński i Chyliński. Towarzystwo cieszy się wielką sympatją i poparciem ogółu.

— Wychowanie wymaga aby rzeczywiście wierzyć w to, co dziecku do wierzenia podajemy a w obec obowiązku spełniać wszystko, czego spełnienia wymagamy od dziecka, w obec doli czy niedoli mieć rzeczywiście wspólne z niem ukochania przedmioty, wspólne dążenia i nadzieje.

Zmichowska.

— Dobrze jest człowiekowi posiadać towarzystwo ludzi, którym leży na sercu dobro ogółu, a z pośród których każdy pragnie przyłożyć tu cegiełkę własną, spełniać cicho i spokojnie tę pracę swoją.

— Młódzież przedstawia przyszłość, która musi stać się taką, jaką jest ona i dla tego wychowanie należy uważać za podstawę, na której buduje się gmach doli, lub niedoli ludzi pojedynczych i narodów.

M. Poubelle.

— Uczucie szacunku jest wzruszeniem ducha naszego, które powinno się budzić tylko w obec tego, co jest rzeczywiście szlachetnem i wzniosłem. Kto przecież nie jest zdolnym oddawać tego hołdu enocie, kto nie umie cziścić zasługi społecznej, nie zdoła też nigdy zdobyć się na czyny, które wzbudziłyby nam w duszy uczucia takie.

James Sully.

— Im jaśniejszem jest niebo, tem ciemniejszymi są chmury, które je pokrywają.

— Cierpienie przyeiska nas tem silniej, im mniej mężnie je znosimy.

Shakespeare.

— Wielki cios losu może wzniecić w istocie dużej nowe siły, ale cierpienie ciągle jest trucizną, która osłabia moc ducha, talent, enotę nawet, bo ciężar boleści przygniata nas i zgina ku ziemi, jeżeli nie zdołamy powiedzieć sobie, że życie jest próbą wartości ludzkiego ducha.

Goethe.

— Duch człowieka tak mu daje w nieszczęściach wielki spokój poważny, jak natura czyni dna przepaści miękkimi, aby uczucie upadku łagodniejszym było.

Lamartine.

— Rozumniej jest w cierpieniu milczeć, niż głośne skargi rozwodzić.

Sofokles.

— Kto zawsze jest zaszępienym, zawsze skarżącym się na losy i niezdolnym podnieść się do spokojnej rezygnacyi, traci zarazem ziemię i niebo, ku któremu wzroku już nie podnosi.

Schopenhauer.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: ark. 9 i 10 powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Nowoczesne wychowanie kobiety, przez M. I. — Zwątpienie, przez Witalję B. — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Menelik i jego państwo. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 9 i 10. — Przegląd mód. 30 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.